



BERNARD
Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM XII



MIECZ
KRÓLÓW



WOJNY
WIKINGÓW
TOM XII

MIECZ
KRÓLÓW



B E R N A R D
Cornwell

MIECZ
KRÓLÓW

TLUMACZENIE
ANNA DOBRZAŃSKA


OTWARTE
KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *Sword of Kings*

© Bernard Cornwell, 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Anna Dobrzańska

Wydawca prowadzący: Anna Jędrzejczyk

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Przyjęcie tłumaczenia, adiacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-8135-017-4



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Dla Suzanne Pollak

SPIS TREŚCI

NAZWY GEOGRAFICZNE / 9

CZĘŚĆ PIERWSZA

Próżny trud / 13

CZĘŚĆ DRUGA

Miasto mroku / 161

CZĘŚĆ TRZECIA

Pole jęczmienia / 277

CZĘŚĆ CZWARTA

Oddech Węża / 375

NOTA HISTORYCZNA / 471

NAZWY GEOGRAFICZNE

W czasach anglosaskich sposób zapisu nazw geograficznych cechowała pewna dowolność – brakowało konsekwencji w pisowni, a nierzadko nawet zgody co do samej nazwy. I tak na przykład Londyn często określany był mianem Lundonii, Lundenbergu, Lundenne, Lundene, Lundenwicu, Lundenceasteru czy Lundres. Bez wątpienia znajdują się czytelnicy będący zwolennikami innych wariantów nazw aniżeli te, których zdecydowałem się użyć w powieści* i których wykaz zamieszczam poniżej. W swoim wyborze kierowałem się zazwyczaj pisownią zaproponowaną w *Oxford Dictionary of English Place-Names* lub w *Cambridge Dictionary of English Place-Names* dla okresu przypadającego na lata panowania Alfreda, to jest 871–899, lub możliwie mu najbliższego. Mam jednak pełną świadomość, że nawet ta strategia czasami okazywała się zawodna. Na przykład w 956 roku nazwa Hayling była zapisywana zarówno jako Heilincigae, jak i Haeglingaiggae.

* Z uwagi na funkcjonujące spolszczenia w tłumaczeniu postanowiono posługiwać się współczesnym terminem Londyn zamiast proponowanego przez autora Lundene. Ten sam zabieg zastosowano w przypadku Tamizy (w dosłownym tłumaczeniu: rzeka Temes). (Przypis tłumaczki).

Przyznaję, że i ja nie zawsze byłem wierny przyjętemu kluczowi: woląłem posługiwać się nazwą Northumbria zamiast Nordhymbrolond, by uniknąć posądzenia o to, iż sugeruję, że granice tego historycznego królestwa były zbieżne ze współczesnymi granicami hrabstwa Northumberland. Dlatego prezentowaną tu listę nazw – jak i samą ich pisownię – cechuje swoista kapryśność.

| | |
|--------------|---|
| ANDEFERA | Andover, hrabstwo Wiltshire |
| BASENGAS | Basing, hrabstwo Hampshire |
| BEBBANBURG | Bamburgh, hrabstwo Northumberland |
| BEAMFLEOT | Benfleet, hrabstwo Essex |
| BRAMA LUDA | Ludgate, Londyn |
| CANINGA | wyspa Canvey, hrabstwo Essex |
| CEASTER | Chester, hrabstwo Cheshire |
| CELMERESBURH | Chelmsford, hrabstwo Essex |
| CESTREHUNT | Cheshunt, hrabstwo Hertfordshire |
| CIPPANHAMM | Chippenham, hrabstwo Wiltshire |
| COLNECEASTER | Colchester, hrabstwo Essex |
| CONTWARABURG | Canterbury, hrabstwo Kent |
| CYNINGESTUN | Kingston upon Thames, hrabstwo Surrey |
| CREPELGATE | Cripplegate, Londyn |
| DUMNOC | Dunwich, hrabstwo Suffolk |
| EAST SEAXE | hrabstwo Essex |
| ELENTONE | Maidenhead, hrabstwo Berkshire |
| EOFERWIC | York (pod duńskimi rządami przemianowany na Jorvik) |
| FAEFRESHAM | Faversham, hrabstwo Kent |
| FEARNHAMME | Farnham, hrabstwo Surrey |
| FERENTONE | Farndon, hrabstwo Cheshire |

| | |
|-------------------------------|---|
| FLEOT | rzeka Fleet, Londyn |
| FUGHELNESS | wyspa Foulness, hrabstwo Essex |
| GLEAWECESTRE | Gloucester, hrabstwo Gloucestershire |
| GRIMESBI | Grimsby, hrabstwo Lincolnshire |
| HAMPTONSCIR | hrabstwo Hampshire |
| HEAHBURH | fikcyjna nazwa dawnego rzymskiego fortu, Whitley Castle, Kumbria |
| HEOROTFORDA | Hertford, hrabstwo Hertfordshire |
| LIGAN | rzeka Lea |
| LINDCOLNE | Lincoln, hrabstwo Lincolnshire |
| LINDISFARENA | Lindisfarne (Holy Island – Święta Wyspa), stanowi część hrabstwa Northumberland |
| LUPIAE | Lecce, Włochy |
| MAMECEASTER | Manchester |
| ORA | Oare, hrabstwo Kent |
| SCEAPIG | wyspa Sheppey, hrabstwo Kent |
| JASKINIA ŚWIĘTEGO KUTBERTA | Cuddy's Cave, Holburn, hrabstwo Northumberland |
| STRATH CLOTA | historyczne królestwo w południowo-zachodniej Szkocji |
| SUDGEWEORK | Southwark, Londyn |
| SWALWAN | The Swale (dawniej zatoka, dziś kanał w estuarium Tamizy) |
| TOTEHAM | Tottenham, Wielki Londyn |
| TUEDE | rzeka Tweed |
| WEALA | potok Walbrook, Londyn |
| WERLAMECEASTER | St Albans, hrabstwo Hertfordshire |
| WESTMYNSTER | Westminster, Londyn |
| WICUMUN | High Wycombe, hrabstwo Buckinghamshire |
| WILTUNSCIR | hrabstwo Wiltshire |
| WINTANCEASTER | Winchester, hrabstwo Hampshire |

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRÓŻNY TRUD

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gydene zaginęła.

Nie ona pierwsza z moich łodzi. Morze jest rozległe i okrutne, łodzie małe, a Gydene, której nazwa znaczyła po prostu „bogini”, była mniejsza od większości z nich. Zbudowano ją w Grimesbi nad rzeką Humber i nazwano Haligwaeter. Rok przed tym, nim ją kupiłem, służyła do polowu ryb, a ponieważ nie chciałem w swojej flocie łodzi o nazwie Woda Święcona, zapłaciłem szylinga dziewczycy, by nasikała do zęzy, przemianowałem łódź na Gydene i podarowałem rybakom z Bebbanburga. Ci zarzucali sieci z dala od brzegu i kiedy Gydene nie wróciła w dniu, gdy wiatr był rzeński, niebo szare, a białe spienione fale roztrzaskiwały się o skały wysp Farne, założyliśmy, że zatonięła, a małej osadzie w Bebbanburgu przybyło sześć wdów i niemal trzy razy tyle sierot. Może nie powinienem był zmieniać nazwy – wszyscy żeglarze wiedzą, że człowiek, który zmienia nazwę łodzi, rzuca wyzwanie przeznaczeniu, wiedzą też, że szczyzny dziewczycy mają odwrócić los i zapobiec nieszczęściu. Mimo to bogowie bywają okrutni.

Jakiś czas potem Egil Skallagrimmrson przybył z ziem, które mu darowałem, ziem, które stanowiły granicę między

moimi włościami a królestwem Konstantyna, króla Szkotów. Egil, jak zwykle, przybył drogą morską, a na dnie Banamadra, jego łodzi, spoczywało ciało.

– Fale wyrzuciły go na brzeg Tuede – rzekł mi. – To jeden z twoich, tak?

– Tuede? – powtórzyłem.

– Na południowym brzegu. Leżał na błotnistym dnie. Mewy znalazły go przed nami.

– Widzę.

– Był jednym z twoich ludzi, mam rację?

– Tak – odparłem. W trupie rozpoznałem Haggara Bentsona, rybaka i sternika na Gydene, osiłka lubiącego ale, pobliźnionego w licznych bójkach, zabijakę, który tłukł żonę, i dobrego żeglarza.

– Nie utonął – zauważył Egil.

– Nie – potwierdziłem.

– I to nie mewy go zabiły – dodał rozbawiony.

– Nie – odparłem. – To nie mewy.

Haggara zarąbano. Jego ciało było nagie i białe jak brzuch ryby – oprócz dłoni i tego, co zostało z jego twarzy. Podbrzusze, pierś i uda miał podziurawione ranami, głębokimi cięciami wymytymi przez morze.

Egil trącił czubkiem buta ziejącą ranę Haggara, która ciągnęła się od ramienia aż po mostek.

– Powiedziałbym, że zginął od ciosu toporem – orzekł – ale pierwiej ktoś obciął mu jaja.

– Widzę.

Egil pochylił się nad ciałem i siłą otworzył usta trupa. Był krępkim mężczyzną, ale potrzeba było siły, żeby rozewrzeć szczęki Haggara. Żuchwa zachrzęściła i Egil się wyprostował.

- Nie ma też zębów – zauważył.
- Ani oczu.
- Te mogły wydziobać mewy. Mają do nich słabość.
- Ale język zostawili – powiedziałem. – Biedny drań.
- Marna to śmierć – zgodził się Egil i obejrzał się za siebie, żeby popatrzeć na wejście do przystani. – Przychodzą mi do głowy tylko dwa powody, dla których ktoś miałby torturować człowieka, a potem go zabić.
- Dwa?
- Żeby się zabawić? Może ich obraził. – Egil wzruszył ramionami. – Albo zmusić go do gadania. Inaczej po co zostawialiby mu język?
- Oni? – spytałem. – Szkoci?
- Egil spojrział na okaleczone ciało.
- Musiał kogoś rozjuszyć, ale Szkoci są ostatnio dziwnie spokojni. To nie wygląda na ich robotę. – Znów wzruszył ramionami. – Może to coś osobistego? Może nadepnął na odcisk innemu rybakowi?
- Nie znaleźliście innych ciał? – spytałem. Załogę Gydene stanowiło sześciu mężczyzn i dwóch podrostków. – Ani wraku?
- Na razie tylko jego. Ale inni mogą nadal być w wodzie.
- Nic więcej nie można było dodać. Jeśli to nie Szkoci zaatakowali Gydene, to albo Norwegowie, albo któraś z fryzyjskich łodzi, która postanowiła wykorzystać wczesnoletnią pogodę i wzbogacić się o polów śledzi, dorszy i plamiaków. Ktokolwiek to był, Gydene przepadła, a ja podejrzewałem, że ocalała załoga najpewniej trafiła na galery. Moje przypuszczenia potwierdziły się, gdy dwa dni po tym, jak Egil przyплыł z trupem, na brzeg na północ od Lindisfareny

morze wyrzuciło szczątki Gydene. Był to pozbawiony masztu kadłub, który ledwie utrzymywał się na wodzie. Żadnych ciał, tylko wrak, który zostawiliśmy na plaży, wiedząc, że jesienne sztormy dokończą dzieła.

Tydzień po tym, jak morze wyrzuciło na brzeg resztki Gydene, zniknęła kolejna łódź, tym razem w piękny, bezwietrzy dzień. Nazywała się Swealwe, co znaczy „jaskółka”, i jej kapitan, podobnie jak Haggar, lubił wypływać daleko w morze. O zniknięciu Swealwe dowiedziałem się, gdy do Bebbanburga przybyły trzy wdowy prowadzone przez szczerbatego wiejskiego księdza, ojca Gadda. Klecha powitał mnie skinieniem głowy.

– Stało się... – zaczął.

– Co się stało? – spytałem, powstrzymując się od naśladowania sepleniącego klechy.

Ojciec Gadd był zdenerwowany i nic dziwnego. Doszły mnie słuchy, że w swych płomiennych kazaniach ubolewał nad tym, że panem tych ziem jest poganin, jednak teraz, kiedy stanął z nim twarzą w twarz, najwyraźniej opuściła go odwaga.

– Bolgar Haruldsen, panie. On jest...

– Wiem, kim jest Bolgar – przerwałem mu. Był kolejnym rybakiem.

– Widział na horyzoncie dwie łodzie, panie. W dniu, w którym zniknęła Swealwe.

– Jest wiele łodzi – odparłem. – Handlowych. Byłoby dziwne, gdyby ich nie widział.

– Bolgar mówi, że płynęły na północ, a potem na południe.

Złęczniony głupiec gadał bez ładu i składu, w końcu jednak pojąłem, co próbował mi powiedzieć. Swealwe

wypłynęła w morze, a Bolgar, doświadczony mąż, widział ją, jak znika za horyzontem. Następnie zoczył szczyty masztów dwóch łodzi, które popłynęły jej śladem, a po jakimś czasie wróciły. Swealwe była za horyzontem i o jej spotkaniu z tajemniczymi łodziami świadczyło jedynie to, że one również popłynęły na północ, a potem na południe, co było niepodobne do łodzi kupieckich.

– Trzeba było sprowadzić do mnie Bolgara – rzekłem. Dałem trzem wdowom srebro, a klesze dwa pensy za to, że przyniósł wieści.

– Jakie wieści? – spytał mnie wieczorem Finan.

Siedzieliśmy na ławie przed dworem w Bebbanburgu i spoglądaliśmy nad wschodnimi szczytami na falujące na wodach księżycowe odbicie. Z głębi dworu dobiegały śpiewy i śmiechy mężczyzn. Byli tam wszyscy moi wojownicy, z wyjątkiem dwudziestu, którzy strzegli murów. Łagodny wschodni wiatr niósł zapach morza. Noc była cicha, a na ziemiach Bebbanburga panował spokój, odkąd rok wcześniej przekroczyliśmy wzgórze i pokonaliśmy Sköllę w jego fortecy. Po tamtej krwawej bitwie myśleliśmy, że pokonaliśmy Norwegów, a zachodnia część Northumbrii żyje w strachu, lecz podróżni przynosili wieści z górskich przełęczy o kolejnych ludziach Północy i smoczycach, które przybijały do naszych zachodnich wybrzeży, o norweskich wojownikach, którzy osiedlali się na naszych ziemiach, choć żaden z nich nie miał śmiałości obwołać się królem, tak jak zrobił to Sköll, i żaden nie przeprawiał się przez wzgórze, by najeżdzać nasze pastwiska, tak więc panował względny spokój. Konstantyn z Alby, zwanej przez niektórych Szkocją, wojował

z Norwegami ze Strath Cloty, którym przewodził król Owain. Owain nie niepokoił nas, a Konstantyn chciał z nami pokoju – przynajmniej do czasu, aż pokona Norwegów Owaina. Mój ojciec nazywał to „szkockim pokojem”, co znaczyło, że nadal kradziono nam bydło, ale bydło kradziono zawsze, a prędzej czy później sami wyprawialiśmy się do szkockich dolin, by je odzyskać. Kradliśmy tyle, ile ukradziono nam, więc prościej byłoby zaprzestać tych najazdów, lecz w czasach pokoju młodzi muszą spobić się do wojny.

– Wieści głoszą – rzekłem Finanowi – że gdzieś tam czają się najeźdźcy. – Mówiąc to, wskazałem głową morze. – I złupili dwie nasze łodzie.

– Zawsze są jacyś najeźdźcy – zauważył Finan.

– Ci mi się nie podobają.

Finan, mój najbliższy druh, Irlandczyk, który walczył z furią swych przodków i biegłością bogów, roześmiał się.

– Masz przecucie?

Pokiwałem głową. Czasami wiedza przychodzi znikąd, z przecucia, niewyczuwalnego zapachu, niczym nieuzasadnionego lęku. Bogowie, chcąc nas chronić, zsyłają nam nagły niepokój, pewność, że niewinny krajobraz skrywa zabójców.

– Po co mieliby torturować Haggara? – zapytałem.

– Bo był cholernym draniem.

– W istocie – zgodziłem się z nim. – Ale tu chodzi o coś gorszego.

– Co więc zamierzasz?

– Wyruszę na polowanie.

Finan się roześmiał.

– Nudzisz się? – spytał, a gdy nie odpowiedziałem, znów parsknął śmiechem. – Nudzisz się – rzucił oskarżycielsko – i szukasz wymówki, żeby pobawić się Spearhafokiem.

Miał rację. Chciałem zabrać Spearhafoca na morze i załować.

Spearhafoc dostał imię po krogulcach, które gnieździły się w nielicznych lasach Bebbanburga, i podobnie jak one był łowcą. Był długi, miał niską wolną burtę w połowie długości kadłuba i dziób z rzezaną w drewnie głową krogulca. Jego ławy mogły pomieścić czterdziestu wiosłarzy. Został zbudowany przez dwóch fryzyjskich braci, którzy uciekli z ojczyzny i zaczęli budować łodzie na brzegu Humber, gdzie zrobili Spearhafoca z solidnej mercyjskiej dębiny i drewna jesionowego. Ukształtowali jego kadłub, przybijając jednaście długich desek po obu stronach wręgi, i postawili podtrzymywany linami maszt z gibkiej nort-humbryjskiej sośniny z przytwierdzoną doń reją, na której dumnie powiewał żagiel. Dumnie, albowiem wyszyto na nim mój symbol, symbol Bebbanburga – głowę wilka szczerzącego kły. Wilk i krogulec – dwa dzikie drapieżniki. Nawet Egil Skallagrimmrson, który jak większość Norwegów pogardzał saskimi łodziami i żeglarzami, chcąc nie chcąc tę musiał pochwalić.

– Choć rzecz jasna – zwrócił się do mnie – to wcale nie jest saska łódź. Tylko fryzyjska.

Saska czy nie, wypłynęła z wąskiego wyjścia z przystani mglistym letnim świtem. Minął tydzień, odkąd dotarły do mnie wieści o Swealwe, tydzień, podczas którego moi

rybacy nie wypływali daleko od brzegów. Na wszystkie przystanie padł blady strach, i tak Spearhafoc wyruszył na morze szukać pomsty. Poziom wody podnosił się, dzień był bezwietrzny, a moi wiosłarze pracowali ciężko i dobrze, walcząc z prądami i pozostawiając za nami szeroki kilwater. Słysząc było tylko skrzywienie wiosel w dulkach, chłupot wody liżącej kadłub, leniwy plusk fal rozlewających się po plaży i żalosne pokrzykiwania mew nad fortecą Bebbanburga.

Czterdziestu ludzi ciągnęło za długie wiosła, a dwudziestu kolejnych czaiło się między ławkami albo na platformie dziobowej. Wszyscy mieli kolczugi i broń, choć włócznie, topory i miecze wiosłarzy piętrzyły się na śródkręciu obok tarcz. Finan i ja staliśmy na dziobie.

- Może później zacznie wiać? - zauważył Finan.

- Albo i nie - burknąłem.

Finan źle się czuł na morzu i nie pojmował mojej miłości do łodzi. Tego dnia towarzyszył mi tylko dlatego, że zanosilo się na walkę.

- Chociaż ten, kto zabił Haggara, pewnie dawno już odpłynął - mruknął, gdy wypływaliśmy z przystani.

- Pewnie tak - zgodziłem się z nim.

- A zatem tracimy czas.

- Pewnie tak - powtórzyłem. Gdy dziób Spearhafoca uniósł się na długiej, posępnej fali, Finan chwycił się stewy rufowej w obawie, że straci równowagę. - Usiądź - poradziłem mu. - I napij się ale.

Wiosłowaliśmy w stronę wschodzącego słońca i w miarę jak się ocieplało, od zachodu zerwał się słaby wiatr. To wystarczyło, by moi ludzie wciągnęli reję na szczyt masztu

i rozwinęli żagiel z wilczym łbem. Wkrótce wioślarze mogli odsapnąć, podczas gdy łódź leniwie unosiła się i opadała na falach. Za nami nabrzeże znikło we mgle. Nieopodal wysp Farne ujrzelśmy dwie małe łodzie rybackie, lecz wkrótce nie widzieliśmy już żadnych masztów ani kadłubów i czuliśmy się, jak gdyby poza nami na świecie nie było nikogo ani niczego. Przez większość czasu wiosło sterowe zanurzone było w wodzie, a my niespiesznie płynęliśmy na wschód, wiatr był bowiem dość silny, by wypełnić ciężki żagiel. Z upływem dnia większość moich ludzi udała się na spoczynek.

Sen. Właśnie tak wyobrażałem sobie Ginnungagap – otchłań między niebiańskim paleniskiem a znajdującym się w dole okrutnym zimnem, otchłań, w której stworzono świat. Żeglowaliśmy pośród szaroniebieskiej pustki, gdzie moje myśli dryfowały równie leniwie jak nasza łódź. Finan zasnął. Od czasu do czasu, gdy wiatr ustawał, żagiel obwisał smętnie, by chwilę później z głuchym łoskotem ponownie wypełnić się morską bryzą. Jedynym dowodem na to, że wciąż płyniemy, był kilwater za rufą.

W tej pustce rozmyślałem o królach i śmierci, albowiem Edward wciąż żył. Edward, który tytułował się *Anglorum Saxonum Rex*, królem Anglów i Sasów. Był władcą Wessexu, Mercji i Anglii Wschodniej, i nadal żył. Zachorował, doszedł do siebie i znowu podupadł na zdrowiu. Krążyły plotki, że jest umierający, on jednak żył. Dałem słowo, że po jego śmierci zabiję dwóch mężczyzn. Przysiągłem i nie miałem pojęcia, jak dotrzymać przyrzeczenia.

Bo żeby go dotrzymać, musiałbym opuścić Northumbrię i udać się w głąb Wessexu. A w Wessexie byłem Uhtredem

Poganinem, Uhtredem Bezbożnym, Uhtredem Zdradzieckim, Uhtredem Ealdordeofolem, czyli „przywódcą szatanów”, a przede wszystkim zwano mnie tam Uhtredaerwe, co znaczy ni mniej, ni więcej, tylko Uhtred Niegodziwy. W Wessexie miałem potężnych wrogów i kilku przyjaciół. Miałem więc trzy wyjścia. Mogłem najechać tamtejsze ziemie z niewielką armią, która zapewne zostałaby rozbita; mogłem udać się tam z kilkoma ludźmi, ryzykując, że zostanę odkryty; mogłem też złamać przysięgę. Dwa pierwsze wyjścia niechybnie doprowadziłyby do mej śmierci, trzecie zaś okryłoby mnie hańbą – uznano by mnie za człowieka, który nie dotrzymał słowa i złamał obietnicę.

Eadith, moja żona, nie miała wątpliwości, co winienem uczynić.

– Złam przysięgę – rzekła cierpko. Leżeliśmy w alko-
wie na tyłach wielkiej izby. Wbiłem wzrok w ocienione
krokwie, czarne od dymu i mroku, i nic nie odparłem. –
Niech się pozabijają – zachęcała. – To spór południowców,
nie nasz. Tu jesteśmy bezpieczni. – Miała rację, w Bebban-
burgu byliśmy bezpieczni, a jednak jej żądania mnie
rozjuszyły. Bogowie pamiętają nasze przyrzeczenia i gdy
łamiemy dane słowo, narażamy się na ich gniew. – Umarł-
byś za głupią obietnicę? – Eadith również była rozgnie-
wana. – Tego właśnie chcesz? – Chciałem żyć, lecz nie
życiem człowieka pohańbionego tym, że złamał przyrze-
czenie.

Spearhafoc wyrwał mnie z zamyślenia, gdy przyspieszył
na wzmagającym się wietrze. Chwyciłem za wiosło sterowe
i poczułem drżenie wody na długim jesionowym trzonku.

Przynajmniej ten wybór był prosty. Obcy ubili moich ludzi, wypłynęliśmy więc na marszczone wiatrem, skrzące się słońcem wody szukać pomsty.

– Jesteśmy już w domu? – spytał Finan.

– Myślałem, że śpisz.

– Drzemalem. – Jęknął, dźwignął się i rozejrzał dookoła. – Statek.

– Gdzie?

– Tam. – Wskazał na północ. Nie znałem człowieka, który miałby lepszy wzrok od Finana. Może starzał się, jak ja, lecz wzrok wciąż miał sokoli. – Sam masz – dodał. – Bez żagla.

Wpatrywałem się w mgłę, lecz niczego nie widziałem. Nagle zdało mi się, że dostrzegłem błysk na jasnoniebieskim niebie – linię niewyraźną jak namalowana węglem drzewnym smuga. Maszt? Straciłem go z oczu, a gdy go znów zobaczyłem, obróciłem łódź na północ. Żagiel stawał opór do czasu, aż obróciliśmy go na sterburtę, wówczas Spearhafoc ruszył z wiatrem, a woda zakotłowała się wokół kadłuba. Moi ludzie poruszyli się obudzeni nagłym szarpnięciem i odwrócili głowy, by spojrzeć na majaczącą w oddali łódź.

– Nie ma żagla – rzekł Finan.

– Płynie pod wiatr – zauważyłem. – A zatem wiosłują. To pewnie łódź kupiecka. – Ledwie to powiedziałem, małeńka smuga na zamglonym horyzoncie zniknęła, a jej miejsce zajął świeżo opuszczony żagiel. Wyteżyłem wzrok, duże kwadratowe płótno było widoczne bardziej niż maszt. – Kieruje się w naszą stronę.

– To Banamadr – orzekł Finan.

- Zgadujesz! – Roześmiałem się.
- Nie – odparł. – Ma orła na żaglu. To Egil!
- Naprawdę to widzisz?
- A ty nie?

Nasze dwa statki płynęły teraz ku sobie i po chwili widziałem już charakterystyczny pobielony pas poszycia, który odcinał się od ciemniejszych desek dolnej części kadłuba. Widziałem też wymalowany na żaglu duży czarny kontur orła z rozpostartymi skrzydłami i orłą głowę na dziobnicy. Finan miał rację, to był Banamadr – „zabójca” – statek Egila.

Kiedy podpłynął bliżej, opuściłem żagiel, pozwalając, by Spearhafoc kołysał się na falach. W ten sposób dawałem znać Egilowi, że może się z nami zrównać, i patrzyłem, jak Banamadr skręca w naszą stronę. Był mniejszy od Spearhafoca, lecz miał równie szlachetną linię – ot, fryzyjska łódź i radość Egila, który jak wszyscy Norwegowie najlepiej czuł się na morzu. Obserwowałem, jak dziób Banamadra pruje fale, podczas gdy łódź skręcała. Opuszczono reję, ludzie Egila zwinęli żagiel i obrócili go w kierunku linii środkowej, a zaraz potem z radującą serce i oczy lekkością Banamadr podpłynął do naszej sterburty. Stojący na dziobie mąż rzucił nam linę, druga poszybowała ku nam od strony rufy i usłyszałem, jak Egil pokrzykuje na swych ludzi, żeby przykryli kadłub płótnem żaglowym, tak by łodzie się nie zderzyły. Zaraz potem się do mnie uśmiechnął.

- Robisz to, co myślę, że robisz?
- Marnuję czas – odkrzyknąłem.
- Może nie.
- A ty?

– To oczywiste, szukam drani, którzy zabrali twoje łodzie. Mogę wejść na pokład?

– Wchodź!

Egil ocenił wysokość fal i przeskoczył na nasz pokład. Był Norwegiem, poganinem, poetą, żeglarzem i wojownikiem. Był wysoki jak ja, a jasne włosy nosił długie i splątane. Twarz miał gładko ogoloną, brodę spiczastą niczym dziób smoczej łodzi, oczy głęboko osadzone, ostry nos i usta, które często się uśmiechały. Mężczyźni szli za nim chętnie, a niewiasty jeszcze chętniej. Znałem go ledwie od roku, ale zdążyłem go polubić i mu zaufać. Był dość młody, by być moim synem, i przywiódł siedemdziesięciu wojów, a ci złożyli mi przysięgę wierności w zamian za ziemię, którą ofiarowałem im na południowym brzegu Tuede.

– Powinniśmy udać się na południe – rzekł dziarsko.

– Na południe? – powtórzyłem.

Egil powitał Finana skinieniem głowy.

– Witaj, panie. – Zawsze nazywał Finana „panem”, ku uciesze ich obu. Spojrzał na mnie. – Nie tracisz czasu. Napotkaliśmy szkockiego kupca, który płynął na północ i powiedział, że widział tam cztery łodzie. – Mówiąc to, wskazał na południe. – Daleko na morzu – dodał. – Tak że nie sposób zobaczyć ich z lądu. Cztery saskie łodzie. Kapitan jednej z nich zatrzymał go i zażądał trzech szylingów cła, a gdy odmówił, zabrali mu cały towar.

– Żądali cła!

– W twoim imieniu.

– W moim imieniu – burknąłem rozeźlony.

– Właśnie wracałem, żeby ci o tym powiedzieć. – Egil spojrział na Banamadra, na którego pokładzie czekało około

czterdziestu wojów. – Nie mam dość ludzi, żeby samemu zaatakować cztery statki, ale razem moglibyśmy dać im radę.

– Ilu mają ludzi? – Finan dźwignął się na nogi, widać było, że aż rwie się do bitki.

– Ten, który zatrzymał Szkota, czterdziestu. Dwa inne były tej samej wielkości, a jeden mniejszy.

– Moglibyśmy zgotować im krwawą jatkę – rzuciłem mściwie.

Finan przysłuchiwał się naszej rozmowie i obserwował załogę Egila. Trzech ludzi próbowało zdjąć z dziobnicy głowę orla. Kiedy im się udało, ułożyli ją na pokładzie dziobowym i razem z innymi zaczęli zdejmować żagiel.

– Co oni robią? – spytał Finan.

Egil odwrócił się w stronę Banamadra.

– Jeśli sucze syny zobaczą łódź z orłem na żaglu, będą wiedzieli, że chcemy zaatakować. Jeśli zobaczą mojego orla, będą wiedzieli, że to ja. Dlatego odwracam żagiel. – Uśmiechnął się. – Jesteśmy małą łodzią, pomyślą, że będziemy łatwym łupem.

Wiedziałem, o co mu chodzi.

– Mam więc za tobą płynąć?

– Na wiosłach – zaproponował. – Pod żaglem zobaczą was szybciej. Wykorzystamy Banamadra jako przynętę, a wy pomożecie nam ich wykończyć

– Pomożemy? – rzuciłem pogardliwie, na co parsknął śmiechem.

– Ale co to za jedni? – spytał Finan.

Kiedy powiosłowaliśmy na południe, pytanie to nie dało mi spokoju. Egil wrócił na statek i pod burym żaglem

wysforował się naprzód. Mimo tego, co powiedział, my również płynęliśmy pod żaglem, trzymając się co najmniej pół mili od Banamadra. Nie chciałem gonić ludzi do wiosła, jeśli mieli walczyć, i tak ustaliliśmy z Egilem, że gdy tylko ujrzy trzy statki, zawróci. Uda, że umyka w stronę wybrzeża, i wciągnie naszych wrogów w pułapkę. Gdy się obróci, miałem opuścić żagiel, tak by nieprzyjaciel nie zobaczył wilczego łba, lecz pomyślał, że jesteśmy jeszcze jedną łodzią kupiecką, którą łatwo będzie złupić. Zdjęliśmy z dziobnicy głowę krogulca. Wielkie, rzezane w drewnie symbole miały udobruchać bogów, przerazić wrogów i odegnać złe duchy, ale zwyczaj nakazywał zdejmować je na przyjaznych wodach, więc zamiast przybijać je do dziobów, zakładaliśmy je tak, by można je było zdjąć.

– Cztery statki – rzucił beznamiętnie Finan. – Sasi.

– A do tego zmyślni – dodałem.

– Zmyślni? Uważasz, że szturchanie cię zaostrzonym kijem jest zmyślne?

– Atakują łodzie z Bebbanburga, lecz inne tylko nęka ją. Jak myślisz, ile czasu upłynie, nim król Konstantyn usłyszy, że Uhtred z Bebbanburga ograbia szkockie łodzie z ładunków?

– Pewnie już o tym słyszał.

– Więc kiedy postanowi nas ukarać? – spytałem. – Może i walczy z Owainem ze Strath Cloty, ale ma dość łodzi, by posłać je przeciw nam. – Spojrzałem na Banamadra, który przechylał się delikatnie na zachodnim wietrze, pozostawiając za sobą spieniony kilwater. Jak na małą łódź był zdumiewająco szybki i zwrotny. – Ktoś – ciągnąłem – chce uwikłać nas w konflikt ze Szkotami.

– I nie tylko z nimi – odparł Finan.

– Nie tylko – zgodziłem się z nim.

Wzdłuż naszych wybrzeży pływały łodzie ze Szkocji, z Anglii Wschodniej, Fryzji i ziem należących do Norwegów. A nawet z Wessexu. Ja zaś nigdy nie pobierałem od nich myta. Uważałem, że nie jest moją sprawą, czy Szkot przepływający obok naszych wybrzeży przewozi skóry czy wyroby garncarskie. Prawdą jest, że jeśli któraś z łodzi przybijała do jednej z moich przystani, pobierałem opłatę, lecz tak robił każdy. Teraz jednak niewielka flota pływała po moich wodach, pobierając opłaty w moim imieniu, i podejrzewałem, co to za jedni. Jeśli miałem rację, owe cztery statki przybyły tu z południa, z ziem króla Anglów i Sasów Edwarda.

Dziób Spearhafoca zanurzył się w zielonkawych wodach morza, pryskając na boki białą pianą. Banamadr także podskakiwał na falach, gnany wzmagającym się zachodnim wiatrem. Obie łodzie płynęły teraz na południe, by odszukać cztery statki, których załogi zabiły moich poddanych, i jeśli się nie myliłem, chodziło o krwawą waśń rodową.

Była to wojna między dwoma rodami, które poprzysięgły wygubić się nawzajem. Pierwszy raz obiecałem zemstę Kjartanowi Okrutnemu po tym, jak wymordował całe domostwo Ragnara – Duńczyka, który mnie usynowił. Z radością wyczekiwałem pomsty i zakończyłem waśń, zabijając zarówno Kjartana, jak i jego syna. Teraz jednak miałem przeciwko sobie znacznie potężniejszego wroga. Wroga, który mieszkał daleko na południu w należącym do Edwarda Wessexie, gdzie mógł zgromadzić armię podległych mu ludzi. Żeby go zabić, musiałbym udać się tam, gdzie czekała mnie śmierć.

– Zawraca! – Finan przerwał moje rozmyślania.

Banamadr istotnie zawracał. Widziałem, jak opuszcza żagiel, i ujrzałem błysk późnoporannego słońca odbity w piórach zakładanych wiosel. Po chwili wiosła poszły w ruch, a Banamadr z trudem skierował się na zachód, jakby szukał schronienia w northumbryjskiej przystani.

A zatem mój zaciekły wróg przybył po mnie.

Lubiłem Aethelhelma Starszego. Był najbogatszym ealdormanem Wessexu, panem rozlicznych włości, sympatycznym, a nawet hojnym mężem, a jednak zmarł jako mój wróg i więzień.

Nie zabiłem go. Pojmałem Aethelhelma, gdy walczył przeciwko mnie, lecz traktowałem z należnymi mu honorami. Zapadł jednak na poty i choć upuściliśmy mu krwi, choć zapłaciliśmy chrześcijańskim księżom, by się za niego modlili, owinęliśmy go w skóry i poiliśmy ziołami, które – jak twierdziły kobiety – mogły go uleczyć, zmarł. Jego syn, Aethelhelm Młodszy, rozpuścił kłamstwo o tym, że zabiłem jego ojca, i poprzysiął mi krwawą pomstę.

Miałem Aethelhelma Starszego za przyjaciela, nim jego najstarsza córka poślubiła króla Edwarda z Wessexu i dała mu syna. Ten syn, wnuk Aethelhelma, Aelfweard, został aethelingiem. Następcą tronu Aelfweardem! Był marudnym i rozpieszczonym dzieckiem, które wyrosło na zgorzkniałego, posępnego i samolubnego młodzieńca, okrutnego i próżnego. Jednak Aelfweard nie był najstarszym synem Edwarda. Był nim Aethelstan, a tak się składało, że Aethelstan był również moim przyjacielem.

Dlaczego więc to nie Aethelstan był aethelingiem? Ponieważ Aethelhelm rozpuścił kłamliwą plotkę, że Aethelstan jest bękartem i że Edward nigdy nie poślubił jego matki. I tak Aethelstan został wygnany do Mercji, gdzie poznałem go, gdy był jeszcze chłopcem, i gdzie zacząłem go podziwiać. Wyrósł na wojownika, człowieka sprawiedliwego, a jedyną jego wadą było gorliwe umiłowanie chrześcijańskiego boga.

Teraz Edward zachorował. Wiedziano, że niebawem umrze, tak jak wiedziano, że po jego śmierci rozgorzeje walka między poplecznikami Aethelhelma Młodszego, który chciał posadzić na tronie Aelfwearda, a tymi, którzy wiedzieli, że Aethelstan będzie lepszym królem. Wessex i Mercja, połączone niepewnym sojuszem, zostaną rozdarte walką. Dlatego Aethelstan poprosił mnie, bym złożył przysięgę, że po śmierci króla Edwarda zabiję Aethelhelma i tym samym odbiorę mu władzę nad szlachetnie urodzonymi, którzy przybędą na witan, by zatwierdzić nowego króla.

Dlatego musiałem udać się do Wessexu, gdzie miałem licznych wrogów.

Ponieważ dałem słowo.

A nie miałem wątpliwości, że Aethelhelm wysłał swe statki na północ, żeby mnie osłabić, odwrócić moją uwagę i przy odrobinie szczęścia pozbawić mnie życia.

Cztery łodzie pojawiły się w letniej mgle. Kolysały się na falach, lecz ujrawszy nas, podniosły żagle i ruszyły za nami w pościg.

Banamadr opuścił żagiel, tak by podczas naszej udawanej ucieczki na zachód wrogowie nie zobaczyli czarnego orła

skierowanego teraz na rufę. Widząc, że Banamadr zawraca, my również opuściliśmy żagiel z wyszytym na nim wilczym łbem.

– Wiosłować! – zakrzyknął na wiosłarzy Finan. – Z życiem!

Gdy mgła zaczęła opadać, zobaczyłem odległe żagle wzdęte wiatrem i ujrzałem, że nasi prześladowcy doganiają Egila, który usadził po bokach ledwie trzech wiosłarzy. Gdyby wystawił więcej wiosel, nasi wrogowie domyśliliby się, że nie jest to łódź kupiecka, lecz pełen ludzi smoczy statek. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie postąpić podobnie, uznałem jednak, że cztery widoczne w oddali łodzie nie przestraszą się jednej łodzi bitewnej. Mieli nad nami przewagę liczebną i nie wątpiłem, że ludzie tych wysłano, by mnie zabili, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Postanowiłem więc, że dam im szansę.

Czy ją wykorzystają? Tymczasem, płynąc z wiatrem, coraz bardziej zbliżali się do Banamadra, uznałem zatem, że pora się ujawnić, i zakrzyknąłem na swych ludzi, by podnieśli żagiel. Być może widok wilczego łba ostudzi nieco ich zapał, choć liczyli pewnie, że wygrają nadchodzącą potyczkę z Uhtredem Niegodziwym.

Żagiel załopotał na wietrze i wrócił na maszt, a Spearhafoc pochylił się, gwałtownie nabierając prędkości. Założono wiosła, a wiosłarze przywdziali kolczugi i chwycili za broń i tarcze.

– Odpocznijcie, póki możecie! – zawołałem do nich.

Morze było upstrzone białymi drobinkami piany zerwanej z grzebieni fal.

Dziób Spearhafoca zanurzył się w wodzie, która załala pokład, a zaraz potem podskoczył na kolejnej fali. Wiosło sterowe ciążyło mi w dłoniach i musiałem używać całej siły, żeby pchać je lub ciągnąć. Wciąż płynąłem na południe ku czterem łodziom, by stawić im czoło i rzucić wyzwanie. Egil robił teraz to samo. Dwie łodzie przeciwko czterem.

– Myślisz, że to statki Aethelhelma? – spytał Finan.

– A czyje?

– Nie będzie go na żadnym z nich – mruknął Irlandczyk. Słyszając to, roześmiałem się.

– Siedzi w domu, w Wiltunscirze. Wynajął tych drani.

Dranie ustawili się teraz w szeregu, zagradzając nam drogę. Trzy łodzie były wielkości Spearhafoc, podczas gdy czwarta, najbardziej wysunięta na wschód, była mniejsza, nie większa od Banamadra. Ta pozostała nieco w tyle, jakby jej załoga, widząc, że płyniemy na południe, wahała się, czy przystąpić do walki. Nadal byliśmy daleko, ale zdawało mi się, że na najmniejszym ze statków jest niewielu ludzi.

W przeciwieństwie do pozostałych trzech, które zbliżały się ku nam.

– Mają liczne załogi – rzekł ze spokojem Finan.

– Szkot Egila mówił, że na łodzi, która go zatrzymała, było około czterdziestu ludzi.

– Chyba więcej.

– Przekonamy się.

– I mają łuczników.

– Tak?

– Widzę ich.

– My mamy tarcze – odparłem. – A łucznicy nie lubią, gdy łódź podskakuje jak nieujeżdżony źrebak.

Rorik, mój sługa, przyniósł mi mój hełm. Nie ten najlepszy ze srebrnym wilkiem przyczajonym na zwieńczeniu dzwonu, lecz praktyczny, który należał niegdyś do mojego ojca i który zawsze zostawiałem na pokładzie Spearhafoca. Osłony na policzki zardzewiały i zostały zastąpione gotowaną skórą. Przywdziałem hełm, a Rorik zawiązał go tak, by mój wróg nie widział nic poza moimi oczami.

Trzy łodzie nie miały na żaglach żadnych symboli, choć ta najdalej na zachód i najbliższej niewidocznego z tej odległości northumbryjskiego wybrzeża prezentowała wijącego się węża, który – podobnie jak nasz wilk – został wyszyty wełnianą nicią. Ciężkie płótno podtrzymywały tworzące romb liny, zza których widać było czarnego węża. Spieniona woda bielila się wokół jej dziobu.

Egil obrócił Banamadra i zamiast udawać nieudolną ucieczkę na zachód w stronę wybrzeży Northumbrii, płynął teraz na południe obok Spearhafoca. On także podniósł żagiel. Kiedy zrównał się z nami, przyłożyłem dłonie do ust i ryknąłem, przekrzykując wzburzone morze:

– Płynę na tę drugą! – Wskazałem łódź najbliższej tej pod wężowym żaglem. Egil pokiwał głową na znak, że zrozumiał. – Ale zaatakuję tę z wężem na żaglu! – Kolejny raz wskazałem ręką. – Ty też!

– Ja też! – odkrzyknął. Uśmiechał się, a jego jasne włosy wylewały się spod otoku tarczy, łopocząc na wietrze.

Nasi wrogowie ustawili się w szereg, tak że dwie ich łodzie mogły zaatakować jedną z naszych. Gdyby to się udało, wzięliby nas w kleszcze, a walka byłaby krótka, brutalna i krwawa. Pozwoliłem, by uwierzyli, że tak właśnie będzie, i gdy zboczyłem nieco z kursu, kierując się w stronę

drugiej łodzi od zachodu, zobaczyłem, że dwie większe łodzie również odbiły nieco w bok i zmierzały teraz do miejsca, gdzie jak przypuszczano, zetrzemy się z nimi. Odległość między nimi nadal wynosiła cztery, pięć statków, lecz powoli zwierały szyki. Mniejsza łódź, wolniejsza od pozostałych, została nieco z tyłu.

Statek Egila, krótszy od mojego, również został w tyle. Widząc to, poleciłem poluzować szot, by spowolnić Spearhafoca, a zaraz potem odwróciłem się do Egila i pomachałem mu, wskazując sterburtę, by pokazać mu, żeby podpłynął do nas od tej strony. Zrozumiał mnie i niebawem Banamadr płynął po naszej sterburcie. Razem mieliśmy ruszyć do walki, ale nie tam, gdzie spodziewał się nas wróg.

– Chryste! – jęknął Finan. – Ten wielki drań ma mnóstwo ludzi!

– Który wielki drań?

– Ten w środku. Siedemdziesięciu? Osiemdziesięciu?

– A ten z węzowym żaglem?

– Czterdziestu? Może pięćdziesięciu?

– Dość, by przestraszyć kupca – orzekłem.

– Oni nie wyglądają na przestraszonych – zauważył oschle. Trzy większe łodzie nadal płynęły w naszą stronę z przekonaniem, że mają nad nami przewagę liczebną. – Uważaj na tego wielkiego – przestrzegł mnie, wskazując środkowy statek, ten z najliczniejszą załogą.

Wbiłem wzrok w łódź z zatkniętym na dziobnicy pobielonym krzyżem.

– Nieważne, ilu mają ludzi – mruknąłem. – Myślą, że my mamy ledwie czterdziestu.

– Tak? – Finan zdawał się rozbawiony moją pewnością siebie.

– Torturowali Haggara. Co mógł im powiedzieć? Pytali, jak często nasze łodzie wychodzą w morze i jak liczne mają załogi. Jak myślisz, co im powiedział?

– Że masz w przystani dwie łodzie bojowe. Że Spearhafoc jest większy i zwykle pływa na nim czterdziestu ludzi, czasem mniej.

– Właśnie.

– I że zwykle Berg wypływa nim w morze.

Berg był najmłodszym bratem Egila. Wiele lat temu ocaliłem mu życie na walijskiej plaży i od tego czasu wiernie mi służył. Był rozczarowany, że tym razem nie wypłynął z nami, ale pod nieobecność moją i Finana tylko on mógł dowodzić zbrojnymi w Bebbanburgu. Zwykle odpowiedzialność ta spoczywała na moim synu, lecz ten udał się na wzgórze Northumbrii, by rozstrzygnąć spór między dwoma moimi dzierżawcami.

– Myślą, że mamy czterdziestu ludzi – rzekłem. – A Banamadr kolejnych trzydziestu. – Roześmiałem się, dotknąłem rękojeści Oddechu Węża, mojego miecza, i krzyknąłem do Egila: – Skręć teraz! – Szarpnąłem wiosło sterowe do nawietrznej i dziób Spearhafoca zanurzył się w wodzie. – Naciągnąć żagiel! – ryknąłem.

Sidla zostały zastawione i niebawem wąż przekona się, jak walczą wilk i orzeł.

Kazałem naciągnąć żagiel, by łódź znowu zaczęła nabierać prędkości. Była szybsza od wrogich nam statków. Za każdym razem, gdy wznosiła się na fali, widziałem porośnięte wodorostami dno. Suszyliśmy łodzie podczas

odpływu i do czysta szorowaliśmy ich kadłuby, dzięki czemu były szybkie i zwrotne. Odwróciłem się w stronę Banamadra.

– Zamierzam zatopić łajdaka! – krzyknąłem. – I płynąć na wschód za następnym!

Egil zamachał rękami, uznałem więc, że mnie usłyszał. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Płynący z wiatrem Spearhafoc rwał naprzód, prując białe fale dziobową częścią kadłuba. Był teraz równie niebezpieczny jak jego imię i wkrótce Egil przekona się, co zaplanowałem.

– Zamierzasz ją staranować? – spytał Finan.

– Jeśli się uda. Chcę, żebyś stał na dziobie. Jeśli mi się nie uda, masz wskoczyć na pokład i zabić sternika. A potem zniszczyć ich wiosło sterowe.

Finan ruszył na dziób, wołając ludzi, by dołączyli do niego. Zbliżaliśmy się do węzowego statku i byliśmy dość blisko, bym zobaczył stojącą na dziobie grupę włóczników. W ich hełmach odbijały się promienie słońca. Jeden chwycił się forsztagu, drugi podniósł włócznie. Na śródkręciu stali łucznicy ze strzałami naciągniętymi na cięciwy.

– Beornocie! – zawołałem. – Folcbaldzie! Chodźcie tu! I przynieście tarcze! – Beornoth był flegmatycznym, godnym zaufania Sasem, Folcbald zaś potężnym Fryzem, jednym z moich najsilniejszych ludzi. – Będziecie mnie chronić – rzekłem. – Widzicie tamtych łuczników? Wszyscy będą mierzyć we mnie.

Sternik stał w miejscu najbardziej narażonym na atak. Większość moich ludzi kuciała na dnie łodzi ukryta za tarczami. Finan poszedł na dziób, gdzie razem z szóstką wojów utworzyli zasłonę z tarcz. Ja jednak musiałem stać

przy wiosle sterowym. Wkrótce w moją stronę posypią się strzały. Płynęliśmy po zielonkawych wodach i byliśmy dość blisko, bym widział łebki gwoździ wbitych w kadłub. Zerknąłem w lewo. Pozostałe trzy łodzie zobaczyły, dokąd zmierzamy, i zawróciły na pomoc, a to oznaczało, że płynęły teraz pod wiatr z żaglami przyciśniętymi do masztów. Ludzie uwijali się, by opuszczać żagle, i wsuwali wiosła w dulki, lecz byli powolni, a ich kołyszące się na falach łodzie coraz bardziej zostawały w tyle.

– Teraz! – warknął Beornoth i zobaczywszy, że łucznicy zwalnają cięciwy, uniósł tarczę.

Pół tuzina strzał wbiło się w żagiel, a pozostałe przeleciały ze świstem i spadły do morza. Usłyszałem ryk fal, pieśń wiatru w takielunku, a zaraz potem z całych sił narpałem na wiosło sterowe i zobaczyłem, że wężowa łódź obraca się w naszą stronę. Jej sternik powinien był zrobić to chwilę temu, ale teraz było już za późno. Byliśmy blisko, coraz bliżej.

– Włócznie! – krzyknął stojący na dziobie Finan.

– Uwaga! – ryknąłem.

Strzała odbiła się od żelaznego otoku Folcbaldowej tarczy, a ostrze włócznie przeorało pokład u moich stóp. Spearhafoc przechylił się, podmuch wiatru szarpnął jego olinowaniem. Zatoczyłem się. Jakaś strzała z łoskotem wbiła się w tylnicę. Chwilę później łódź wyprostowała się, żagiel obwisł smętnie, a spływники rzygnęły wodą. Ponad szumem fal i wyciem wiatru usłyszałem pokrzykiwania naszych wrogów.

– Trzymajcie się mocno! – ryknąłem do swojej załogi. I uderzyliśmy.

Gwałtownie szarpnęło nami do przodu i równie gwałtownie się zatrzymaliśmy. Usłyszałem trzask pękającego drewna, okrzyki przerażenia, chlupot wzburzonej wody i przekleństwa. Baksztag obok mnie naprężył się i przez chwilę myślałem, że maszt złamie się i runie na dziób, ale liny z foczej skóry wytrzymały, choć wibrowały jak trącone palcem struny harfy. Beornoth i Folcbald upadli. Spearhafoc staranowała kadłub wężowej łodzi i zatrzymała się z loskotem. By uderzyć na wroga, obróciliśmy się pod wiatr i martwiłem się, że wytracimy impet i nie uderzymy z taką siłą, jak gdybyśmy płynęli z wiatrem, lecz waga i prędkość Spearhafoca wystarczyły, żeby strzaskać kadłub wężowej łodzi. Nasz żagiel przywarł teraz do masztu i ściągał nas w tył, ale wyglądało na to, że dziób Spearhafoca zaklinował się w kadłubie wrogiej łodzi, bo gdy powoli zaczęliśmy się obracać na lewą burtę, nasz dziób zanurzył się w wodzie. Dopiero po chwili usłyszałem gwałtowny trzask, pokład pod naszymi nogami zadrżał i łódź się wyprostowała. Jej dziób zakleszczył się w połamanych deskach, w końcu jednak się uwolnił.

Wężowa łódź szła na dno. Uderzyliśmy ją dziobem, najmocniejszą częścią kadłuba, zmiażdżyliśmy jej wolną burtę, jak gdyby była skorupką jajka. Na pokład wdzierała się woda, łódź przechylała się, a jej obciążona kamieniami kotwicznymi zęza nabierała wody w zawrotnym tempie. Los jej załogi, odzianej w kolczugi, był przesądzony, z wyjątkiem tych nielicznych, którzy uczepili się naszej łodzi znoszonej przez prądy ku wrogim statkom, płynącym do nas na wiosłach. Kołysaliśmy się na falach. Ryknąłem na swych ludzi, żeby wciągnęli linę na bakburcie i poluzowali

tę na sterburcie. Po mojej prawej wężowa łódź leżała na boku w wirze spienionej wody, otoczona pływającymi szczątkami. Wkrótce zniknęła i jeszcze przez chwilę widzieliśmy mały trójkątny proporzec zatknięty na szczycie przechylonego masztu.

Pchnąłem wiosło sterowe, modląc się w duchu, by Spearhafoc nabrał dość prędkości, lecz on wciąż był niemrawy. Nasi jeńcy, a było ich pięciu, zostali wciągnięci na pokład, gdzie Finan nakazał ludziom zderzyć z nich kolczugi, hełmy i pasy z mieczami.

– Spójrz za siebie, panie. – Folcbald zdawał się zaniepokojony.

Najbliższa z wrogich łodzi, ta z zatkniętym na dziobnicy pobielonym krzyżem zbliżała się do nas. Była tak duża jak Spearhafoc i wyglądała na znacznie cięższą. Jej załoga była większa niż ta, która poszła na dno wraz z wężowym statkiem, lecz jej dowódca posadził przy wiosłach ledwie dwudziestu czterech ludzi, po dwunastu z każdej strony, chciał bowiem, żeby reszta była gotowa wderzyć się na nasz pokład. Na dziobie czekali wojownicy w hełmach, a jeszcze więcej tłoczyło się na śródokręciu. Pomyślałem, że jest ich co najmniej siedemdziesięciu, może więcej. Niebawem nadleciały pierwsze strzały. Większość z nich utkwiała w naszym żaglu, lecz jedna świsnęła tuż obok mnie. Od ruchowo upewniłem się, że mam pod ręką Oddech Węża, i przywołałem Rorika.

– Panie?! – odkrzyknął.

– Przygotuj moją tarczę!

Łódź z krzyżem na dziobie płynęła niemrawo w naszą stronę, a wiatr pchał nas ku niej. Nie była szybka, albowiem

płynęła pod wiatr, była ciężka i miała niewielu wiosłarzy, wątpiłem więc, by zatopila nas tak, jak my zatopiliśmy wężowy statek, miała jednak wysoki dziób, który pozwalał jej uzbrojonej załodze zeskakiwać na nasz szeroki pokład.

Nagle Banamadr przemknął nam przed dziobem. Płynął z wiatrem i zobaczyłem Egila, który napierał na wiosło sterowe, obracając łódź w stronę statku z krzyżem na dziobnicy. Ich sternik dostrzegł nadpływającego Norwega i chociaż Banamadr był o połowę mniejszy, musiał się obawiać, że ich staranuje, bo krzyknął na wiosłarzy na lewej burcie, by obrócili łódź przodem do Egila. Był teraz blisko nas, tak blisko! Pchnąłem wiosło sterowe, ono jednak ani drgnęło, co znaczyło, że Spearhafoc był zdany na wiatr, który spychał nas w stronę wroga. Puściłem wiosło i wziąłem tarczę od Rorika.

– Gotujcie się! – krzyknąłem.

Dobylem Żądła Osy, mojego saksa. Krótkie ostrze z sykiem wysunęło się z wyścielanej owczym runem pochwy. Fale przelewały się między naszymi łodziami. Statek wroga obrócił się w stronę Egila, gotów uderzyć w nas burtą, a stojący na nim odziani w kolcze koszule, uzbrojeni wojownicy szykowali się do skoku. Zobaczyłem, jak pół tuzina luczników podnosi luki, i nagle na śródkręciu zapanował chaos, gdy Banamadr przemknął wzdłuż lewej burty wroga, łamiąc jego wiosła. Ich trzony wbiły się w brzuchy wiosłarzy, łódź zadrżała, lucznicy zatoczyli się, a ich strzały poszybowały w niebo. Egil poluzował żagiel, by płynąć z wiatrem, i obrócił łódź dziobem do rufy statku z krzyżem na dziobnicy.

Wtedy my przypuściliśmy atak. Najpierw uderzyliśmy na sterburtę, łamiąc ich wiosła, które pękały z trzaskiem,

dzięki czemu na chwilę zatrzymaliśmy łódź. Rosły wojownik z bitewnym okrzykiem na ustach dał susa ku Spearhafocowi, lecz jego łódź zakolysała się i triumfalny ryk zmienił się w krzyk rozpacz, kiedy woj spadł między łodzie. Młócił rękami wodę, a gdy w końcu uczeplił się naszego relingu, jeden z moich ludzi nadepnął mu na dłoń i tamten zniknął, wciągnięty pod wodę przez ciężar kolczugi. Wiatr pchnął nas na wroga i wskoczyłem na podest wiosła sterowego, a za mną Folcbald i Beornoth. Dzicy Norwegowie Egila zabili już sternika i walczyli teraz na środku łodzi, podczas gdy ja wołałem swoich ludzi, by podążali za mną. Zeskoczyłem z podestu i chłopiec, ledwie jeszcze dziecko, wrzasnął z przerażenia. Kopniakiem posłałem go pod ławę wiosłarską i warknąłem na niego, by tam pozostał.

– Nadciąga kolejna!

Oswi, który z mojego służącego stał się chętnym do walki, zajadłym wojownikiem, krzyknął ze Spearhafoca i zobaczyłem, że ostatnia z większych łodzi wroga płynie na ratunek tej, którą właśnie atakowaliśmy. Thorolf, brat Egila, został na pokładzie Banamadra z zaledwie trzema ludźmi i teraz wspólnymi siłami poluzowywali żagiel, by dmący wiatr zniósł ich z drogi nadpływającej łodzi. Coraz więcej moich ludzi dołączało do mnie, lecz nie mieliśmy miejsca do walki. Na szerokiej łodzi kłębili się wojownicy, Norwegowie parli naprzód od ławy do ławy, a ich mur tarcz rozciągał się na całą szerokość kadłuba. Jej załoga utknęła między wojami Egila a ludźmi Finana, którzy przedarli się na dziób i z podestu dźgali ich włóczniami. Naszym zadaniem było pokonanie trzeciej łodzi, która płynęła ku nam na wiosłach. Widząc to, wgramoliłem się z powrotem na podest sternika.

Nadpływająca łódź, podobnie jak ta, na której toczyła się walka, również miała zatknięty na dziobnicy krzyż. Był on ciemny, ze smołowanego drewna, a za nim tłoczyli się uzbrojeni, odziani w hełmy wojownicy. Łódź była ciężka i niemrawa. Człowiek na dziobie, wskazując na północ, pokrzykiwał do sternika i kiedy statek obrócił się powoli, ujrzałem, że ludzie na dziobnicy unoszą tarcze. Zamierzali wdrzeć się na naszą rufę i od tyłu zaatakować wojowników Egila. Wioślarze na sterburcie wciągnęli wiosła na pokład, pozwalając, by łódź płynęła ku nam powoli. Zaraz potem podnieśli tarcze i dobyli mieczy. Zauważyłem, że ich tarcze nie były malowane, nie było na nich krzyża ani innych symboli. Jeśli zostali wysłani przez Aethelhelma, a byłem tego coraz bardziej pewny, polecono im, by z niczym się nie zdradzili.

– Mur tarcz! – ryknąłem. – Gotujcie się!

Miałem przy sobie tuzin ludzi. Niewielki podest nie pomieściłby więcej, choć wróg, którego dziób był wyższy od naszej sterburty, najwyraźniej zamierzał do nas dołączyć. Zerknąłem przez szeroką na grubość palca lukę między tarczą moją a Folcbalda i kilka stóp dalej ujrzałem wroga dziobnicę. Uniosła się na fali, a zaraz potem opadła i rąbnęła w nasz kadłub. Ciemny dziób łodzi otarł się o naszą burtę z taką siłą, że się zatoczyłem. Zdążyłem jeszcze dostrzec skaczącego ku mnie woja, uniosłem tarczę i poczułem, jak ostrze jego topora wbija się w wierzbinową deskę.

Walka na łodzi to chaos, tłok i przepychanki. W bitwie nawet najlepszy mur tarcz rozpada się, kiedy ludzie próbują zrobić użytek ze swej broni, lecz na łodzi nie ma na

to miejsca. Jest tylko cuchnący oddech wroga próbującego cię zabić, ścisk ludzi i stali, wrzaski tych, których dosięgły ostrza, woń krwi w splywnikach, śmierć i pokład, który usuwa ci się spod nóg.

Dlatego właśnie sięgnąłem po Żądło Osy. To krótkie ostrze, niewiele dłuższe od mego przedramienia, lecz w śmiertelnym ścisku nie ma miejsca na wywijanie mieczem. Tu jednak nie było ścisku. Łódź uderzyła w nas, łamiąc pas poszycia kadłuba, i choć kolejni wrogowie gotowali się, by przeskoczyć na nasz pokład, ich łódź odpłynęła na wysokiej fali. Niedaleko, bo ledwie kilka kroków dalej, ale ci, którzy skoczyli pierwsi, zawiedli. Ten z toporem, którego ostrze nadal tkwiło w mojej tarczy, runął na pokład. Widząc to, stojący po mojej prawej Folcbald dźgnął go saksem. Topornik pisnął jak dziecko, gdy ostrze przebiło kolczugę, połamało żebra i utkwiło w płucach. Kopnąłem go w głowę, dźgnąłem Żądłem Osy jego gęstą czarną brodę i zobaczyłem kałużę krwi rozlewającą się po jasnych deskach pokładu.

– Następni! – ryknął zza moich pleców Beornoth.

Szarpnąłem ostrzem, powiększając ranę na szyi topornika, a zaraz potem uniosłem tarczę i przykucnąłem. Znów ujrzałem ciemny dziób, który uderzył w nasz kadłub, i poczułem, jak coś ciężkiego spada na moją tarczę. Nie widziałem, co to było, ale z żelaznego okucia spływała krew.

– Mam go! – krzyknął Beornoth.

Stał tuż za mną i jak większość ludzi w drugim szeregu trzymał włócznię z jesionowymi drzewcami skierowaną ku dziobnicy wrogiej łodzi. Ludzie skaczący na pokład ryzykowali, że nabiją się na ich ostrza. Kolejna fala rozdzieliła

nasze łodzie i konający wojownik ześlizgnął się z mojej tarczy, gdy Beornoth wyszarpnął ostrze. Widziałem, że wciąż się porusza, więc dźgnąłem go Żądłem Osy. Pokład był teraz czerwony i śliski od krwi. Następny wróg z twarzą wykrzywioną wściekłym grymasem przeskoczył na nasz pokład i lupnął tarczą, by przełamać nasze szeregi, lecz Beornoth naparł na mnie z tyłu i tarcza przeciwnika odbiła się od mojej, a on sam zatoczył się w tył. Pchnął saksem tuż przy mojej tarczy, otwierając bezzębne usta w niemym ryku, lecz czubek jego ostrza ześlizgnął się z mojej kolczugi. Tymczasem ja rąbnąłem go tarczą, na co zaklął szpetnie i się zachwiał. Jeszcze raz pchnąłem tarczą i mężczyzna z krzykiem runął do wody.

Wiatr zepchnął nas z powrotem na łódź wroga. Jej dziób był dobre trzy stopy wyższy od podestu, na którym staliśmy. Pięciu ludzi zeskoczyło na nasz pokład i wszyscy zginęli, a teraz nasi wrogowie próbowali wygubić nas, ciskając w nas włóczniami. Ich wysiłki okazały się daremne, ostrza odbijały się bowiem od naszych tarcz. Słyszałem, jak ktoś zagrzewa ich do walki, krzycząc: „To poganie! Czyńcie wolę Bożą! Skaczcie i wyrzńijcie ich!”

Tyle że nie mieli gdzie skakać. W dole czekały na nich włócznie i zamiast tego zobaczyłem ludzi, którzy podchodzili do burty mniej więcej w połowie kadłuba, skąd łatwiej byłoby przedostać się na Spearhafoca, gdyby nie to, że ludzie Egila skończyli zabijać i aż się palili do kolejnej walki.

– Beornocie! – Przepchnąłem się do drugiego szeregu. – Zostań tu i zadbaj, żeby ci dranie mieli co robić. – Zostawiłem mu do pomocy sześciu ludzi, a resztę poprowadziłem

na zbryzgane krwią śródokręcie. – Oswi! Folcbaldzie! Przechodzimy! Wszyscy! Za mną!

Wiatr i fale nieuchronnie zbliżały nas do łodzi, gdzie czekał na nas wróg. Nasi przeciwnicy ustawili mur tarcz, a to znaczyło, że nie chcą przedzierać się na nasz pokład i rzucając nam wyzwanie, byśmy to my przyszli do nich i zginęli na ich tarczach. Nie krzyczeli, wyglądali na przerażonych, a przerażony wróg jest już w połowie pokonany.

– Bebbanburg! – ryknąłem. Wszedłem na ławkę wiosłarską, rozpedziłem się i skoczyłem. Mężczyzna, który nazywał nas poganami, nie przestawał krzyczeć: „Zabić ich! Zabić!”. Stał na dziobie, gdzie tuzin wojów nadal ciskał włóczniami w Beornotha i jego ludzi. Reszta załogi, która nie mogła składać się z więcej niż czterdziestu ludzi, czekała na nas na śródokręciu. Młodzik o płochym spojrzeniu, w skórzanym hełmie i z poobijaną tarczą cofnął się, gdy zeskoczyłem na pokład. – Chcesz umrzeć? – warknąłem do niego. – Rzuć tarczę, chłopcze, i żyj.

Zamiast tego uniósł ją i pchnął w moją stronę. Sparowałem cios własną tarczą i odwróciłem ją tak, że obie się obróciły, a ja wykorzystałem sytuację i wbilem mu w brzuch Żądło Osy. Szarpnąłem w górę i wypatroszyłem chłopaka jak tłustego łososia. Miałem Folcbalda po prawej, a Oswiego po lewej ręce i we trzech przedarliśmy się przez płytki mur tarcz, przechodząc nad ciałami konających mężczyzn i ślizgając się we krwi. Chwilę później usłyszałem, jak Finan woła:

– Mam ich rufę!

Ktoś rzucił się na mnie z prawej strony, lecz Folcbald podłożył mu nogę, a ja ciąłem go po twarzy. Wciąż krzyczał,

gdy Folcbald wyrzucił go za burtę. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Finan i jego ludzie stali na podeście sterowym. Wrzucali do wody zarówno martwych, jak i żywych. Oddział wroga został podzielony na dwie grupy. Jedna stała na dziobie, a druga między moimi ludźmi, a ludźmi Finana, do których dołączyli wojownicy Egila. Sam Egil, którego miecz, Żmija, ociekał krwią, wycinał sobie drogę między ławkami wioślarzy. Ludzie kulili się ze strachu przed jego furią.

– Opuśćcie tarcze! – ryknąłem do naszych wrogów. – Rzućcie broń!

– Zabić ich! – wrzasnął mężczyzna na dziobie. – Bóg jest po naszej stronie! Nie można nas pokonać!

– Ale możecie umrzeć – mruknął Oswi.

Miałem dwudziestu wojów. Zostawiłem dziesięciu, by mieli na oku tych za nami, a resztę powiodłem na dziób. Utworzyliśmy mur tarcz i wolno, spowalniani przez ławki wioślarzy i porzucone wiosła, ruszyliśmy do przodu. Waliśmy ostrzami w tarcze i wykrzykiwaliśmy obelgi. Byliśmy nadciągającą śmiercią i nasi wrogowie uznali, że mają już dość. Opuścili tarcze, rzucili broń i uklękli na znak posłuszeństwa. Coraz więcej moich ludzi wchodziło na pokład i wkrótce dołączyli do nich Norwegowie Egila. Wrzask za moimi plecami powiedział mi, że gdzieś z tyłu zginął człowiek, lecz był to ostatni krzyk, albowiem nasi wrogowie zostali pokonani. Zerknąłem w prawo i zobaczyłem, że czwarta łódź, najmniejsza, podniosła żagiel i płynęła na południe. Uciekała.

– Walka skończona – rzekłem do wojowników, którzy stłoczyli się pod krzyżem zatkniętym na dziobnicy. – Nie

umierajcie na próżno. – Zatopiliśmy jedną łódź i zdobyliśmy dwie. – Rzućcie tarcze! – krzyknąłem i zrobiłem krok do przodu. – To koniec!

Tarcze załomotały o dno łodzi, podobnie jak miecze i włócznie. Bitwa dobiegła końca dla wszystkich poza jednym aroganckim wojownikiem. Był młody i wysoki, miał gęstą jasną brodę i płomiennie spojrzenie. Stał na dziobie, dzierżąc w dłoniach długi miecz i pozbawioną symboli tarczę.

– Bóg jest po naszej stronie! – zakrzyknął. – Nie opuści nas! Bóg nigdy nie zawodzi! – Rąbnął mieczem w tarczę. – Podnieście broń i zbijcie ich!

Żaden z jego kompanów się nie poruszył. Wiedzieli aż nadto dobrze, że zostali pokonani, i mieli jedynie nadzieję, że darujemy im życie. Młodzieniec ze srebrnym łańcuchem, na którym wisiał krzyż, ostatni raz uderzył mieczem o tarczę, a gdy zrozumiał, że jest sam, ku memu zdziwieniu zeskoczył z dziobu i zrobił dwa kroki w moją stronę.

– Tyś jest Uhtredaerwe? – zapytał.

– Tak mnie zwą – odparłem.

– Przysłano nas, byśmy cię zabili.

– Nie wam pierwszym powierzono taką misję – rzekłem. – Coś ty za jeden?

– Jestem wybrańcem Bożym.

Na głowie miał hełm przedniej roboty, zdobiony srebrem i zwieńczony krzyżem. Był przystojny, wysoki i dumny.

– Czy wybrańiec Boży ma jakieś imię? – spytałem.

Rzuciłem Osiemu Żądło Osy i wysunąłem z wyścielanej owczym runem pochwy Oddech Węża. Wyglądało na to, że wybrańiec Boży chce walczyć i że stanie do walki

sam, tak więc będę miał dość miejsca, by zrobić użytek z długiego ostrza.

– Tylko Bóg zna moje imię – odezwał się wyniośle młodzieniec. – Ojczy! – Odwrócił się i zawołał.

– Synu? – odpowiedział mu schrypnięty głos. Należał do klechy stojącego na dziobie pośród włóczników. Rozpoznałem w nim głos, który zachęcał naszych wrogów do rzezi.

– Czy jeśli tu zginę, pójdę do nieba? – W głosie młodzika pobrzmiwała powaga.

– Jeszcze dziś zasiądziesz u boku Pana, synu. Pośród błogosławionych świętych! A teraz czyń Jego wolę!

Młodzieniec przyklęknął na chwilę. Zamknął oczy i nie wypuszczając miecza z dłoni, uczynił niezdarny znak krzyża. Ludzie Egila i moi, a także ocaleli wrogowie obserwowali każdy jego ruch i zobaczyłem, że walczący u mego boku chrześcijanie również się przeżegnali. Modlili się za mnie czy błagali o przebaczenie, albowiem zdobyli łodzie z krzyżami na dziobnicach?

– Nie bądź głupcem, chłopcze – rzekłem.

– Nie jestem głupcem – odparł z dumą, prostując się. – Bóg nie wybiera głupców, by czynili Jego wolę.

– Czyli?

– Uwolnili świat od twojej niegodziwości.

– Z doświadczenia wiem, że twój bóg niemal zawsze wybiera głupców – zakpiłem.

– A zatem będę głupcem Bożym – rzucił wyzywająco. Za jego plecami rozległ się szcęk, a gdy się odwrócił zaskoczony, ujrzał, że kolejny z jego towarzyszy rzucił włócznię i tarczę. – Powinieneś mieć więcej wiary – zwrócił się do niego, a zaraz potem odwrócił się do mnie i zaatakował.

Był odważny. Odważny i głupi. Wiedział, że zginie. Może nie z mojej ręki, ale jeśli udaloby mu się mnie zabić, moi ludzie zaszlachtowaliby go bez litości. To znaczyło, że wiedział, iż zostało mu ledwie kilka minut życia, a mimo to wierzył, że czeka go inne, nudne życie w pełnym słońca chrześcijańskim niebie. Czy naprawdę sądził, że da radę mnie pokonać? W bitwie nic nie jest pewne. Mógł mnie zabić, jeśli był biegły we władaniu mieczem i tarczą. Podejrzewałem jednak, że jego wiara nie zasadzała się na umiejętnościach, lecz przekonaniu, że jego bóg zapewni mu zwycięstwo. I właśnie ta głupia wiara pchnęła go ku mnie.

Kiedy się modlił, wysunąłem rękę ze skórzanej pętlicy tarczy i chwyciłem ją tylko za imacz. Musiał to zauważyć, lecz nic nie powiedział. Zarówno miecz, jak i tarczę trzymałem nisko, odczekałem, aż przeciwnik będzie sześć, siedem kroków ode mnie, po czym cofnąłem lewą rękę i cisnąłem tarczą. Rzuciłem ją nisko i mocno, celując pod nogi, i tak jak się spodziewałem, potknął się o nią, a fala, która gwałtownie zakołysała łodzią, rzuciła go w bok, gdzie runął na ławę wioślarską. Widząc to, podszedłem do niego i zamachnąłem się mieczem. Klinga Oddechu Węża uderzyła w jego ostrze z głuchym dźwiękiem i złamała je. Dwie trzecie jego miecza spadły na pokład, podczas gdy on próbował dźgnąć mnie w udo wyszczerbionym kikutem. Chwyciłem go za nadgarstek i przytrzymałem.

– Naprawdę tak spieszno ci umierać? – spytałem.

Wyrwał się, a zaraz potem próbował uderzyć mnie krawędzią tarczy okutą żelazem, ta jednak odbiła się od mego uda, nie czyniąc mi żadnej krzywdy.

– Dajcie mi nowy miecz – zażądał.

Roześmiałem się.

– Odpowiedz mi, głupcze – warknąłem. – Naprawdę tak spieszno ci umierać?

– Bóg nakazał mi cię zabić!

– Bóg czy ksiądz, który sączył ci jad do ucha? – spytałem.

Znów zamachnęła się na mnie tarczą, jednak sparowałem cios Oddechem Węża.

– Bóg mi nakazał – upierał się.

– A zatem twój ukrzyżowany bóg jest takim samym głupcem jak ty – odrzekłem szorstko. – Skąd jesteś, głupcze?

Gdy nie odpowiedział, ścisnąłem go za nadgarstek i boleśnie wykrzywiłem mu ramię.

– Z Wessexu – mruknął.

– Tyle wiem z twojego akcentu. A dokładnie?

– Z Andefery – odparł niechętnie.

– Andefera jest w Wiltunscirze – powiedziałem, na co pokiwał głową. – Gdzie ealdormanem jest Aethelhelm – dodałem i zobaczyłem, jak kuli się na dźwięk tego imienia. – Puść miecz, chłopcze.

Opierał się, lecz kolejny raz wykręciłem mu rękę i w końcu wypuścił złamane ostrze. Sądząc po rękojeści zdobionej złotym drutem, broń była droga, a jednak pękła pod naporem Oddechu Węża. Rzuciłem rękojeść Oswiemu.

– Zabierz tego świętego głupca i przywiąż go do masztu Spearhafoca – poleciłem. – Darujemy mu życie.

– My tak, ale nie Spearhafoc – rzucił oschle Finan. – Łódź tonie.

Spojrzałem ponad burtą i zobaczyłem, że Finan ma rację. Spearhafoc szedł na dno.

Dwie deski kadłuba wypaczyły się, kiedy Spearhafoc staranował pierwszy wrogi okręt, i teraz woda wlewała się na pokład. Kiedy wszedłem na łódź, dziób był do połowy zanurzony w wodzie. Gerbruht, fryzyjski osilek, zerwał deski pokładowe i kazał ludziom przenosić kamienie balastowe na rufę, żeby ją zrównoważyć.

– Możemy ją załatać, panie! – krzyknął na mój widok. – Przecieka tylko po jednej stronie.

– Potrzebujesz ludzi? – spytałem.

– Damy sobie radę!

Egil poszedł za mną na rufę.

– Nie dorwiemy tej ostatniej – rzekł, patrząc na najmniejszą łódź, która niemal zniknęła za horyzontem na południu.

– Mam nadzieję, że ocalimy tę – rzuciłem pośpiesznie. Gerbruht mógł liczyć, że uda nam się załatać dziury, ale wiatr się wzmagał, a morze robiło się coraz bardziej niespokojne. Tuzin ludzi wybierał wodę z pokładu, niektórzy używali do tego hełmów. – Zawsze możemy wrócić do domu na jednym z tych statków. – Wskazałem głową dwie zdobyczne łodzie.

– Są głównie warte – orzekł Egil. – Za ciężkie!

– Mogą się przydać do przewożenia towarów – zauważyłem.

– Raczej na podpałkę.

Gerbruht z rękami zanurzonymi w wodzie zatykał prześwity szmatami, podczas gdy inni wylewali wodę za burtę. Jedna ze zdobytych łodzi, ta z pobielonym krzyżem, również nabierała wody – najwyraźniej została uszkodzona, gdy ostatni statek przyłączył się do walki. Większa łódź uderzyła w jej rufę i poszycie klepkowe pękło na linii

wodnej. To na nią zagnaliśmy większość jeńców, po tym jak odebraliśmy im broń, kolczugi, tarcze i hełmy. Zabraliśmy ich żagiel – nowy i cenny – i skąpe zapasy: twarde jak kamień ser, worek zawilgłego chleba i dwie beczki ale. Zostawiłem im sześć wiosel i przeciąłem linę.

– Puszczasz ich wolno? – spytał zaskoczony Egil.

– Nie mam zamiaru karmić suchych synów w Bebbanburgu – odrzekłem. – Zresztą jak daleko odpłyną? Nie mają jedzenia, picia ani żagla. Połowa z nich jest ranna i siedzą w przeciekającej łodzi. Jeśli mają choć trochę rozumu, popłyną na wiosłach do brzegu.

– Pod wiatr. – Egila wyraźnie rozbawiła ta myśl.

– A gdy dobiją do brzegu – ciągnąłem – nie będą mieli broni. Witamy w Northumbrii.

Uwolniliśmy jedenastu rybaków, którzy pływali na Gydene i Swealwe i których nasi wrogowie zagonili do wiosel. Jeńcy, których wzięliśmy, byli albo Sasami zachodnimi, albo Anglami wschodnimi, a co za tym idzie – poddanymi króla Edwarda, jeśli ten nadal żył. Zatrzymałem dwunastu, by wziąć ich do Bebbanburga. Był wśród nich klecha, który tak żarliwie nawoływał swoich ludzi, by nas wyrznęli. Przyprawiono go do mnie na Spearhafoca, którego dziób nadal się przechylał, choć Gerbruhtowi udało się uszczelnić dziury, a przeniesienie kamieni balastowych ustabilizowało kadłub.

Klecha był młody i krępy, z puciołowatą twarzą, czarnymi włosami i skwaszoną miną. Wydał mi się znajomy.

– Znamy się? – spytałem.

– Dzięki Bogu nie.

Stał przed podestem sterowym strzeżony przez uśmiechniętego od ucha do ucha Beornotha. Wciągnęliśmy żagiel

i gnani przez zachodni wiatr płynęliśmy na północ, do domu. Większość moich ludzi była na pojmanej przez nas większej łodzi. Tylko nieliczni zostali na Spearhafocu i ci wciąż wybierali wodę. Młodzik, który poprzysiągł mnie zabić, nadal tkwił przywiązany do masztu i patrzył na mnie wilkiem.

– Ten młody głupiec – zwróciłem się do księdza, wskazując głową młodego wojownika – jest z Wessexu, ale ty wyglądasz mi na Mercjanina.

– Królestwo Chrystusowe nie ma granic – mruknął.

– W przeciwieństwie do mojej łaski – rzekłem, na co nie odezwał się ani słowem. – Pochodzę z Northumbrii – ciągnąłem, ignorując jego bezczelność – i w Northumbrii to ja jestem ealdormanem. Dlatego będziesz zwracał się do mnie „panie”. – Nic nie powiedział, tylko w milczeniu zgromił mnie wzrokiem. Spearhafoc był powolny i wciąż pochylał się do przodu, ale płynął i niósł nas do domu. Banamadr i zdobyczna łódź płynęły razem z nami, gotowe wziąć nas na pokład, gdybyśmy zaczęli tonąć, choć z każdą minutą nabierałem pewności, że Spearhafoc dopłynie do przystani i da się go naprawić. – Będziesz zwracał się do mnie „panie” – powtórzyłem. – Skąd jesteś?

– Z królestwa Chrystusowego.

Beornoth zamachnął się mięsistą ręką, żeby dzielić klechę, ale pokręciłem głową.

– Rozumiesz, że możemy zatonać? – spytałem ojczulka, który milczał uparcie. Wątpiłem, by wiedział, że daleko nam do tego, albowiem Spearhafoc odzyskiwał dawny wdzięk. – I jeśli tak się stanie, przywiążę cię do masztu, obok tego idioty. Chyba że powiesz mi to, co chcę wiedzieć. Skąd jesteś?

– Urodziłem się w Mercji, lecz Bóg uznał za stosowne wysłać mnie do Wessexu – odparł niechętnie.

– Jeśli jeszcze raz nie nazwie mnie „panem” – zwróciłem się do Beornotha – możesz zdzielić go tak mocno, jak będziesz chciał. – Uśmiechnąłem się do klechy. – A dokładnie?

– Do Wintanceasteru – odparł, a gdy wyczuł, że Beornoth się poruszył, dodał pospiesznie: – panie.

– Co zatem ksiądz z Wintanceasteru robi na łodzi u wybrzeży Northumbrii?

– Posłano nas, żeby cię zabić! – warknął klecha i pisnął, gdy Beornoth walnął go w tył głowy.

– Bądź silny w Panu, ojcze! – krzyknął młodzik, którego przywiązaliśmy do masztu.

– Jak ma na imię ten głupek? – spytałem rozbawiony. Klecha zawahał się i kątem oka zerknął na młodzieńca.

– Wistan, panie – odrzekł.

– A ty? – spytałem.

– Ojciec Ceolnoth. – I tym razem minęła chwila, nim dodał: – Panie.

Wówczas wiedziałem już, dlaczego wydał mi się znajomy i dlaczego mnie nienawidził. Roześmiałem się. I powlekliśmy się do domu.